



fot. Wojciech Krysta

O postępie umiarkowanym

– *Umiejętność dostosowania technologii realizacji do możliwości wykonawcy to jedna z najważniejszych umiejętności – mówi Zbigniew Maćków, założyciel pracowni architektonicznej, cieszącej się obecnie najlepszą opinią wśród biur projektowych działających we Wrocławiu, wyróżniony w XIV edycji konkursu „Polski Cement w Architekturze” za rozbudowę wrocławskiego domu handlowego Renoma.*

– **Jak duży jest wpływ technologii na architekturę?**

– Jestem zdziwiony, że ten wpływ jest nadal taki mały. Zastanawia mnie, że w tak mocno zmieniającym się technologicznie świecie cały czas pracujemy na niezwykle konwencjonalnych materiałach. Narzędzia zmieniają się błyskawicznie, mam jeszcze w rękach świeżą umiejętność rysowania grafionami, rapidografami, potem pierwsze próby na komputerach. Teraz narzędzia są tak nowoczesne, że w pół godziny można zrobić pracę, która kiedyś trwała tydzień. A budynki technologicznie pozostały właściwie takie same. Rewolucja objęła infrastrukturę budynku, na przykład domofon, który 15 lat temu był wysokim standardem, a dziś jest codziennością. Robi się różne okablowania, buduje się inteligentne domy, ale w samej strukturze ściany czy materiałach okładzinowych nie uszliśmy zbyt daleko.

– **Jest Pan tym zaskoczony?**

– Tak. Są oczywiście niesamowite materiały, takie jak Fibre-C, którym obłożyliśmy nowo zbudowaną część domu handlowego Renoma. To jest beton z włókien szklanych, betonowa płyta nieprawdopodobnie cienka, grubości 12 mm, jeden z najnowszych materiałów na świecie. Mimo takich nowości architekturę kojarzy się nadal z solidną ścianą murowaną, zwykłą żelbetową konstrukcją i okładziną z kamienia. Mówi się, że potrzeba

jest matką wynalazców. Być może ludzie uznali, że w tej sferze nie potrzebują zmian. Gdyby była konieczność, żeby budować szybciej i taniej, to świat by poszedł w tę stronę. Może już dużo taniej nie można, a szybciej nie ma potrzeby. Są społeczeństwa, które chcą budować dużo, jak Chińczycy, a zasadniczo używają takich samych technologii budowlanych jak my.

– **Skąd poczucie, że postęp w budownictwie mógłby być większy?**

– Gdy studiowałem, były rozważania futurologiczne, co się stanie za dwadzieścia lat. W tej chwili minęło te dwadzieścia lat. Wydawało się, że domy będą z żywicy, epoksydów, że będą takimi – jak w filmach – „świecącymi glutami”, które można przesuwać albo gdzieś przemieszczać. Społeczeństwa miały się stać bardziej nomadyczne, więc taki dom z całą rodziną można by przenieść z Polski na przykład do Anglii, a tam byłby podłączony do jakiegoś większego układu. W następnym roku mógłby sobie przefrunąć do wioski w Brazylii. W tym samym czasie ludzie marzyli, że będą się łatwiej ze sobą komunikować, że będą mieć w uchu wszczepione urządzenie do komunikacji albo telefon w zegarku. Te rzeczy wydawały się tak samo nieprawdopodobne, jak latające domy, a teraz są codziennością. Mogę rozmawiać z kolegą w każdym miejscu na świecie, widzę jego twarz, przesyłam mu w sekundę jakiś projekt albo rysunek. Ta technologiczna wizja prawie w całości się spełniła. A chatupy jak były murowane z cegieł, pustaków, tak są. Są ciut lepsze, ale postęp jest bardzo umiarkowany.

– **Cechą współczesności jest to, że masowa produkcja materiałów, technologii, systemów zupełnie odsunęła na boczny tor pracę bardziej indy-**

widualną, twórczą, rzemieślniczą. Czy widzi Pan skutki tego procesu w architekturze?

– Być może coraz większa anonimowość jest nieuchronna. Czasem obserwuję taki proces, że architekt miał pewien pomysł na budynek i stoi za tym pomysłem naprawdę ciekawa historia, ale potem – jak mówimy slangiem – nie dociągnął realizacji do końca. Jest we Wrocławiu kilka takich budynków, gdzie pomysł był świetny, widać, że na papierze było to przemyślane i silne, ale architekt nie dowiózł budowy w detalu. Powszechna jest bowiem praktyka, że przychodzi do pracowni doradca jakiegoś systemu, jakiejś technologii, i wrzuca ten system, a architekci się na to zgadzają. My bardzo cenimy doradców technicznych i ich wiedzę, ale nie pozwalamy, żeby robili za nas architekturę. Nie pozwalamy im przejmować inicjatywy. Największe zagrożenie jest przy fasadach budynków, ponieważ wszystkie tego typu błędy na fasadzie są natychmiast widoczne. Nieuzasadniona niczym technologia czy jakiś system wrzucony sztucznie na fasadę szczyrzy się potem od ucha do ucha.

– Jak Pan ocenia kulturę budowlaną w Polsce?

– Są potężne skrajności. Naprawdę największy niepokój jako architekt czuję wtedy, gdy nie wiem, kto będzie wykonawcą naszego projektu, z kim się spotkamy na budowie. Na rynku jest parę dużych sztyldów i kilka mniejszych, ale tak naprawdę robotę wykonują podwykonawcy. Pracę wykonują mniejsze firmy, i tu wszystko zależy od ludzi. Poruszamy się między skrajnościami, od partaczy do wirtuozów. Dwa przykłady. Firma rozbierała nam budynek i przewróciła kilkukondygnacyjną ścianę. Spowodowała katastrofę budowlaną, aż musiał wkroczyć prokurator. Mieli napisane, żeby rozbierać warstwę po warstwie do stropu, dopiero potem strop, a potem kolejne ściany. Oni tymczasem rozebrali stropy i ściana stała na wysokości czterech kondygnacji, po prostu przewrócili ją. To więcej niż partacze, to są idioci nieodpowiedzialni. Ludzie skrzyknęci na gwizdek przez firmę, któ-

ra miała za zadanie rozbiórkę budynku. Teraz kończymy budowę wielkiego węzła przesiadkowego dla tramwajów, pociągów i samochodów przy stadionie piłkarskim we Wrocławiu, węzła długiego na 500 metrów, który jest cały odlany w żelbecie. Mamy do czynienia z wirtuozami betonu, absolutnymi fachowcami z swojej dziedziny. Słucham tego, co opowiadają, z otwartą buzią. Jestem architektem, więc mnie nikt nie wprowadzał w arkana żelbetu. W związku z tym za kilka dni zawiozę na budowę całą naszą pracownię na wycieczkę. Będziemy oglądali i słuchali tych świetnych opinii z otwartymi buziami.

– Projektując budynek w żelbecie – proszę wskazać jeden moment, jedną rzecz, której się Pan najbardziej obawia.

– Najbardziej obawiam się, kto będzie budował, że trafi się na kogoś, kto sobie nie poradzi. Są takie technologie i żelbet do nich należy, że siedemdziesiąt procent sukcesu leży w egzekucji, w wykonawstwie. Można zrobić specyfikację grubości księgi, ale jak ktoś nie umie, to po prostu nie zrobi. Będzie miał każdy ruch opisany, każde narzędzie, a i tak nie zrobi. A innemu damy trzy kartki papieru albo sto stron specyfikacji, której nawet nie przeczyta i wrzuci do kosza, a zrobi zgodnie ze swoją wiedzą i będzie znakomicie.

– Jak Pańska pracownia radzi sobie z taką sytuacją?

– Jeżeli projektujemy w zamówieniach publicznych, to możemy trafić na każdą firmę, bo ktoś wygrywa przetarg i bierze sobie podwykonawców. Dlatego przygotowujemy takie zapisy, żeby potencjalnego wykonawcę nastraszyć na wyrost, żeby wiedział, że musi zarezerwować sobie taki budżet, w którym zmieści się bardzo dobry albo dobry podwykonawca. Trudniej jest z niepublicznym inwestorem, bo musimy ocenić ryzyko na starcie. Żadne straszenie nie zadziała. Jeśli prywatny inwestor powie wykonawcy „odpuszczajcie, bo chcę



ft. Archimim, Biuro Projektów Lewicki Łatak

Zbigniew Maćków ma 42 lata. Od 1995 roku prowadzi we Wrocławiu pracownię architektoniczną, która w ciągu ostatnich lat stała się największą i najszybciej rozwijającą się pracownią na Dolnym Śląsku. Zbigniew Maćków jest znawcą wrocławskiej architektury nowoczesnej. Ukończył Wydział Architektury Politechniki Wrocławskiej (1993), był też na stypendium w szkole architektury Kingston University w Londynie. Do osiągnięć Maćków Pracowni Projektowej należy hala sportowo-widowiskowa przy gimnazjum w Siechnicach, Centrum Informacyjno-Szkoleniowe CIS przy ulicy Łowieckiej we Wrocławiu, budynek dydaktyczny Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Wrocławskiego, który stoi w sercu Starego Miasta; apartamenty Thespian oraz Dolnośląska Szkoła Wyższa we Wrocławiu. Za rewaloryzację i rozbudowę domu towarowego Renoma pracownia otrzymała już kilkanaście nagród, także międzynarodowych, w tym Nagrodę Roku SARP dla najlepszego budynku zbudowanego w Polsce (2010). Obecnie w budowie jest m.in. Zintegrowany Węzeł Przesiadkowy przy wrocławskim stadionie, budowany w związku z EURO 2012.

Hala sportowa „Na Skarpie”, Bytom



ft. Tomasz Zakrzewski



foto: Krzysztof Śmiek

taniej”, to oni odpuszczają. Musimy na starcie wyczuć, w jakim przedziale budżetu się poruszamy. Jeżeli widać, że nie ma pieniędzy, to jako architekci popełniamy podstawowy błąd, jeśli przesadzimy ze standardem. Niedoświadczeni architekci popełniają taki błąd, że chcą – jak każdy – jak najlepszej jakości, ale nie mają możliwości wyegzekwowania swoich wyrafinowanych pomysłów. Wykonawcy położą budowę. Umiejętność dostosowania technologii realizacji do możliwości wykonawcy to jedna z najważniejszych umiejętności.

– Na czym polega ta umiejętność?

– Oczywiście najczęściej jest tak, że zna się inwestora, a nie zna się wykonawcy, ale muszą przewidzieć, kogo inwestor może wybrać jako wykonawcę. Na kogo będzie go stać. Jeśli wiem, że inwestor zawsze tnie koszty, żeby było najtaniej, zawsze, zawsze najtaniej, bo już nas wyżyłował na

projekcie – to zadanie mu wyrafinowanej technologii jest strzeleniem sobie samobójczej bramki. Tam musi być prosto, co nie znaczy źle! Można zrobić bardzo dobrze w prostych idiotoodpornych technologiach. Na wyrafinowanie trzeba mieć pewność, że ktoś da radę pociągnąć wyrafinowane wykonawstwo. Z wyrafinowanego detalu na fasadzie łatwo można zrobić detal siekany siekierką.

– Czy w związku z tym architekt powinien być bardziej przewidującym realistą, a mniej kimś, kto ma ambicje artystyczne?

– Nie chodzi może o artyzm, ale o to, że nie zawsze da się zrobić koronkową robotę. Samo „chcę” nie wystarczy. Trzeba mierzyć zamiar podług sił, a nie siły na zamiary. Inwestor w starciu z nami jest zawsze silniejszy, to są jego pieniądze i jego budynek. Może ktoś powie „musi być tak, jak sobie zaplanowałem”, ale ja powiem, że najważniejsze to wyczuć, na ile możemy coś zaprojektować w wyrafinowanej technologii. Nie jest sztuką zaordynować coś na papierze. Ja nie cierpię papierowej architektury. Wymyślenie dobrej rzeczy to jest piętnaście procent sukcesu. Pozostałe osiemdziesiąt pięć procent to przekonanie inwestora, żeby zrobił w takiej formie, jak zaplanowaliśmy, potem dowiedzenie tego w przetargu, w realizacji, w materiale, w technologii – do końca.

– Jaka jest najbliższa przyszłość architektury w Polsce? Jakie czynniki będą w niej odgrywać ważną rolę?

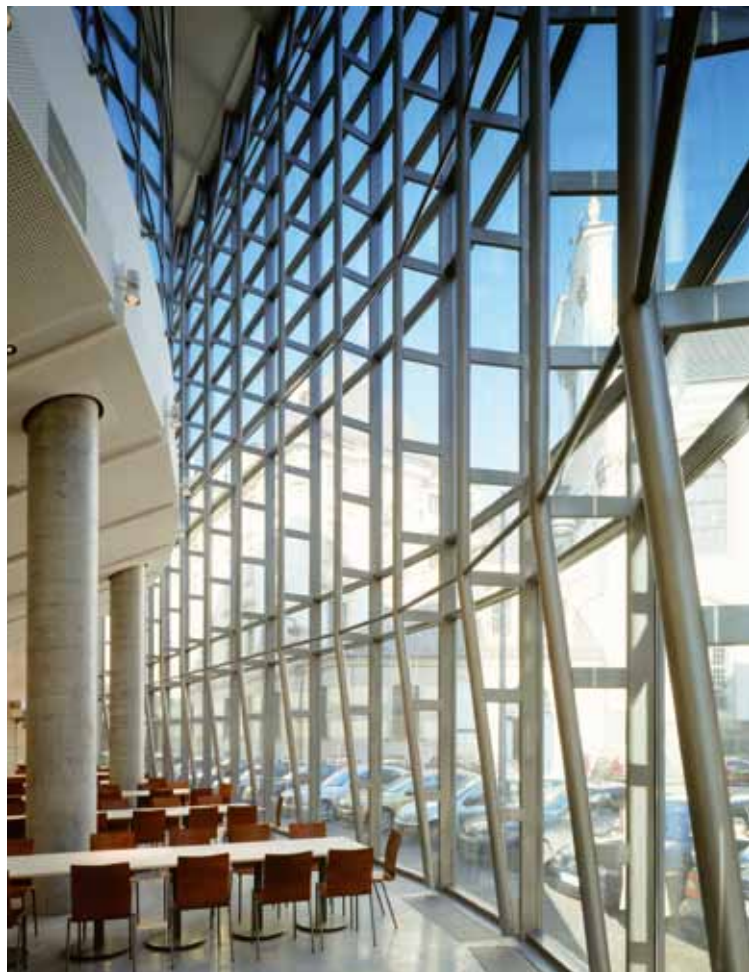
– Skończył się czas, gdy pracowała dla wielkiej polityki, przynajmniej w naszej części świata. Teraz przechodzimy przez okres anonimowości, architektura jest przede wszystkim użyteczna, czyli zaspokaja takie potrzeby jak dach nad głową. Ludzie kupują mieszkania, bo nie mają gdzie mieszkać, i nie zastanawiają się więcej. Ale gdy to się nasyci – w społeczeństwach zachodnich już się nasyciło – to zaczną dostrzegać, że w tych wszystkich przestrzeniach czy obiektach nie ma miejsca na więzi społeczne. Polska jest w innej fazie niż kraje zachodniej Europy, jesteśmy w fazie pragmatycznej. Buduje się na potęgę mieszkania, teatry, muzea, ponieważ tego brakuje. Budujemy i nie zastanawiamy się, budujemy – i do przodu. Dopiero za jakiś czas zorientujemy się, że czegoś w tym wszystkim czasem brakuje. W związku z tym architektura będzie chciała odegrać większą rolę społeczną.

– Czego brakuje w architekturze pragmatycznej?

– Brakuje przestrzeni do budowania więzi społecznych. W krajach Europy Zachodniej, które już są nasycone architekturą i wiele rodzin ma po dwa mieszkania, problem budowania więzi społecznych jest na pierwszym planie. W Polsce ten temat pojawi się najpierw w mieszkaniówce, ponieważ ludzie kupili hurtem tysiące mieszkań, które nie spełniają wielu standardów, ale nikt nie zwraca na to uwagi. W mieszkaniówce nie ma prawie żadnych przestrzeni wspólnych, gdzie ludzie mogą się spotkać. W dobie portali społecznościowych, facebooka, twittera, które ustawiają życie w innym wymiarze, trudniej jest o kontakt twarzą w twarz. Życie społeczne zaczyna być przez te technologie tro-

foto: Wojciech Kryński

Wydział Prawa, Administracji i Ekonomii UW





chę zakłócone i architektura będzie zaprzęgnięta, żeby te relacje społeczne ratować. W Europie Zachodniej karierę robi słowo „re-using”, czyli drugie życie w budynkach. Nie burzenie, bo z tym się wiąże kwestia odpadów i zmarnowanej energii, ale przebudowa, nowa adaptacja budynku. Można na przykład z bloku wyrzucić jedno mieszkanie i stworzyć tam świetlicę dla dzieci. W polskim klimacie, gdzie przez pół roku jest zimno i dzieci nie mogą się bawić poza domem, a drugie pół roku bawią się przy śmietniku albo na trzepaku, to jest prawdziwa, a nie wymyślona potrzeba.

– **Gdzie należy szukać Pana ideowych początków?**

– Zaczynaliśmy w latach 90. ustawieni w opozycji do tego, co obowiązywało we Wrocławiu, a obowiązywała religia państwowa postmodernizmu. My kontestowaliśmy tę architekturę. Starsi koledzy, którzy byli przy głosie i mieli najwięcej do powiedzenia, wydawali nam się trochę nieszczerzy w tym, co robili. To, co mówili, wydawało nam się trochę nieświeże. Uważaliśmy, że było obrośnięte komercyjnym tłuszczem i nieautentyczne. Młody człowiek zwykle tak czuje, więc zaczyna się buntować przeciwko zastanemu.

– **Gdzie Pan szukał swojej drogi?**

– Nie wiem, czy ja szukałem drogi, czy raczej ona mnie znalazła. Od zawsze interesowało mnie to, co było zupełnie inne niż architektura lat 90., która była kolorowa, fruująca, bez troska, nie na serio, była takim odreagowaniem wcześniejszej szarości. Najpierw zachwyciłem się pierwszą falą wrocławskiego modernizmu z okresu niemieckiego, to są lata 1910-1933. Wtedy został zbudowany między innymi dom handlowy Renoma i wiele innych imponujących budynków. Architektura była wtedy

bardzo serio, ponieważ miała misję rozwiązywania problemów społecznych. Próbowano rozwiązać problem przeludnienia miasta, które rozrosło się pięciokrotnie. Musiała rozwiązywać problemy higieniczne, dostępu do wody, światła, powietrza, chciała uwolnić człowieka z ciasnoty i braku higieny charakterystycznych dla miasta XIX-wiecznego. My tego typu problemy mamy już poza sobą, nie musimy się tym zajmować. Kolejną moją fascynacją była druga fala modernizmu, czyli architektura wrocławska lat 60., która jest fantastyczna, a przez długi czas była albo potępiana, albo zapomniana.

– **Moderniści mieli misję, a czy architektura obecna, Pana architektura, czy realizuje jakąś misję? Czy to pojęcie jeszcze egzystuje?**

– Jak patrzę na większość naszych projektów, to widzę, że łączy je jedno: działamy we Wrocławiu, czyli mieście, które było, ale zostało w znacznej mierze zniszczone. Są zręby czegoś, co powstało przed wojną i różne rzeczy, które powstały po wojnie. Okazuje się, że wspólnym mianownikiem tego, co robimy, jest uzupełnianie miasta. Rozwiązywanie łamigłówek przestrzennych, szukanie między tym, co powstało przed wojną i jest bardzo dobre, a tym co powstało po wojnie i też nie jest złe. Bardzo rzadko zdarza nam się projektować budynek zupełnie bez kontekstu miasta i jego historii. Jak patrzę na to, co robili architekci przed 80 laty, to wyraźnie widzę, jakie mieli cele. Może ktoś za 50 lat popatrzy z lotu ptaka na to, co my robiliśmy, i też zobaczy w tym jakąś misję. Można powiedzieć, że robimy punktowe interwencje w mieście, polegające na takim cerowaniu miasta.

– **Dziękuję za rozmowę.**

Paweł Pięciak

Węzeł przesiadkowy przy stadionie we Wrocławiu